



Kryminał z myszką

9

ZAUŁEK MROKÓW

DR JERZY KOSTRZEWA
PROWADZI ŚLEDZTWO

T a d e u s z
K o s t e c k i

Tadeusz Kostecki
ZAULEK MROKÓW

Kryminał z myszką – Tom 9

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-54-0

Copyright © Jerzy Tadeusz Czaplicki

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

SPIS RZECZY

- I. Morderstwo
- II. Ślady, które prowadzą w przepaść
- III. Ludzie po tamtej stronie zasłony
- IV. Ślady, które prowadzą w wielu kierunkach
- V. Do gry wchodzi nowy partner
- VI. Mocne pchnięcie w mur
- VII. Ślepy zaułek
- VIII. Światło, które zaciemnia
- IX. Podróż w nieznane
- X. Trop zaczyna stygnąć
- XI. Dom na polance
- XII. Zagadka, która należy już do całkiem innej historii

I. Morderstwo

Kąpiel była gorąca, niemal parzyła. Siedział w wannie kilkanaście minut, czując jak zmęczenie rozpuszcza się powoli w parującej wodzie – dzień był ciężki i trudny. Pocierana ostrym ręcznikiem skóra podbiegła czerwienią. Gdy opuścił łazienkę, odpoczynek właściwie dobiegł końca. Miał wprawdzie zamiar wypić jeszcze spokojnie herbatę, ale spiętrzony na biurku stos korespondencji przyciągał nieodparcie. Postawił szklankę obok kałamarza. Popijał drobnymi łykami, potem zapomniał. Gdy po upływie dłuższego czasu sięgnął znowu po szklankę, płyn był już niemal zupełnie zimny. Koperty: cienkie, grube, różnych kształtów i kolorów. Otwierał jedną po drugiej. Nazwy miejscowości znaczyły niewidzialne punkciki na mapie całego kraju. Wiele ludzi pragnęło z nim porozmawiać listownie. Prośby o radę, o interwencje – tych może było najwięcej. Wyrazy uznania. Projekty. Nie brakło również wymyślań. Niektóre utrzymane w granicach przyzwoitości, inne otwarcie ordynarne w swej napastliwej, niekiedy wprost prowokacyjnej formie. Były też groźby.

Każdy list czytał z uwagą. Ostrze automatycznego ołówka znaczyło drobne literki na marginesach. Wymysły nie zawsze musiały oznaczać wroga.

Rozżalenie to jeszcze nie tamta strona barykad. Często, zbyt często rozżalenie było w pełni uzasadnione.

Niekiedy zresztą przyczyna sprawiała wrażenie słusznej.

Tego rodzaju listy badał ze szczególną starannością. Może da się coś naprawić, wyprostować, ułatwić. Droga pod górę zawsze jest ciężka.

Segregował kartki w teczkach. Nie dla wszystkich jednak zagadnień ich starczyło. Na blacie wyrastały coraz to nowe sterty. Trzeba będzie to jakoś uporządkować – palił papierosa za papierosem.

Koperta taka jak inne. To, że nie było adresu nadawcy, nie miało żadnego znaczenia. Wiele przychodziło właśnie takich. Nie każdy miał odwagę występować z otwartą przyłbicą. Ale wystarczyło przeczytać parę pierwszych słów, by od razu wiedział, o co chodzi. To nie był pierwszy list z tej serii. Wyrok?! Usta drgnęły w nikłym uśmiechu. Przez chwilę patrzył w zadumie na równe rzędy maszynowego pisma.

Zmiotł kartkę. Kulka papieru trafiła prosto w otwarte drzwiczki pieca... W ten sposób wietrzył pokój. Przez okna wpływałoby zbyt wiele hałasu.

Rozbłysnął żółtawy ogień. Papier szerniał. Jego pomarszczona powierzchnia przypominała teraz strącone gniazdo os.

Oderwał oczy od ognia.

Może nie powinien był tego niszczyć – potrząsnął głową – pewno, że nie. To tak samo, jakby zniszczył ślad wroga. Ale dochodzenie nie dałoby z pewnością rezultatów i pochłonęłoby masę czasu. Mimowolnym ruchem otarł palce o marynarkę. Miał wrażenie, że przylgnęło do nich coś ohydnie lepkiego.

Po chwili studiował już następny list. Wspomnienie spalonej kartki bladło coraz bardziej, aż w końcu rozwiało się bez śladu.

W pokoju robiło się coraz gęściej od dymu. Machinalnie przytykał do ust od dawna już opróżnioną do ostatniej kropelki szklankę. Powieki zaczynały ciążyć ołowiem. Przespać się choć przez parę godzin? Z samego rana zapowiedziało się kilku interesantów. A potem... Przesunął wzrokiem po upstrzonej gęsto notatkami kartce kalendarza. Nie, ani mowy o wykrajaniu choćby godziny dla siebie. I tak niełatwo będzie załatwić wszystko, co zaplanował. Szalony dzień. Tak się jakoś nazywało...

Był piekielnie zmęczony. Cały ten tydzień był łańcuchem takich wypełnionych pracą do granic możliwości dni. A właściwie poprzedni też nie bardzo się różnił.

Przeciągnął odrętwiałe ramiona. Wstał zza biurka. Przeszedł się kilka razy po pokoju. Potracił o jakieś sprzęty. Nawet nie poczuł. W gardle zaschło. To wszystko przez te

papierosy. Kopiasty stożek niedopałków wypływał szeroką falą z popielniczki. Zgarnął je i wrzucił do pieca. Zastanowiła go mroczna czeluść.

Kiedy ten ogień zdążył wygasnąć? – znowu się przeciągnął. – Spać. Ostatecznie organizm ludzki ma też granice swej wytrzymałości. A te listy? Sporo kopert pozostało jeszcze nie odpieczętowanych. Może któraś zawiera wołanie o natychmiastowy ratunek?

Po chwili siedział z powrotem przy biurku. Granatowy mrok leżący na szybach zaczął powoli rzednąć, nasiąkając szarością przedświt. Ciężkie koła zadudniły na jezdni. W pokoju robiło się coraz zimniej.

Nie zdawał sobie sprawy, ile czasu upłynęło do chwili, gdy ostry dźwięk dzwonka zmącił ciszę. Podniósł ociężałą głowę znad biurka. Już? Wizyta oznajmiała zakończenie jednego etapu pracy i rozpoczęcie następnego.

Znowu zaterkotał dzwonek. Natarczywie, alarmująco. Uśmiechnął się z pobłażaniem. Ależ mu pilno.

Idąc w kierunku przedpokoju przeciągnął się. Mięśnie odrętwiały w całym ciele.

Przekręcił klucz w zamku. Pchnięte gwałtownie drzwi stanęły otworem. Do przedpokoju wpadło dwóch mężczyzn. Spojrzał na nich ze zdziwieniem. Oczekiwał kogo innego.

Kapelusze nisko nasunięte na czoło. Ręce w kieszeniach.

W wyglądzie ich było coś, co nasunęło skojarzenie z treścią listu, który spłonął przed paroma godzinami. Czyżby... – odrzucił jednak myśl natychmiast. Bzdura!

– Redaktor Józef Lebioda? – głos przytłumiony, jakby ochrypnięty.

– Tak. Czym mogę służyć?

– Jesteśmy ze Związku... – nazwy nie dosłyszał, ale nie zastanawiał się nad nią.

Przyszli do niego przecież ludzie, a nie organizacja.

Zamknął drzwi. Ze schodów wiało przejmującym zimnem. Może zresztą mu się tak wydawało z niewyspania?

– Proszę dalej – zachęcającym gestem wskazał pokój.

Nie weszli jednak. Wyższy zasłonił sobą drzwi wejściowe. W postawie ich nagle zaszła jakaś zmiana. Raczej ją wyczuł, niż dostrzegł. I znowu fala gwałtownego niepokoju zatargała nerwami.

– Co...

Nie skończył. Głos ugrzązł mu w gardle. Wyszarpnęli niemal jednocześnie ręce z kieszeni. Wycelowane pistolety nie pozostawiały już miejsca na najmniejsze wątpliwości.

Wyciągnął przed siebie instynktownym ruchem dłoń. Chciał uciekać do pokoju. Chciał wołać o pomoc. Myśli splątały się w wirujący kłęb, z którego do świadomości docierały jedynie strzępy: Koniec! Dlaczego?!... Za co... W połowie drogi...

– Giń, kundlu! – słowa zlały się z hukiem wystrzałów.

Błysnął ogień. Rozrósł się w pożogę przesłaniającą cały świat. Przeogromny ból zdawał się rozsadzać całe ciało. Potem wszystko zgasło w czymś, co nie ma nazwy.

Następna kula uderzyła już w martwe ciało.

W ciszy, jaka teraz zapanowała w małym mieszkanku, zaszemrał oślizły szept:

– Nawet nie myślałem, że tak łatwo pójdzie.

Wyższy wzruszył ramionami.

– Jazda!

Przełożyli klucz na drugą stronę. Nadsluchiwali, gotowi za najmniejszym szmerem skoczyć z powrotem do wnętrza.

Na schodach jednak panowała niczym nie zmacona cisza. Wyższy przekręcił dwukrotnie klucz w zamku i wsadził go do kieszeni.

Ostry dźwięk fabrycznej syreny zawibrował wysokim, czystym trelem w przesiąkniętym wilgocią porannym powietrzu. Po chwili zawtórowały inne. Miasto budziło się do nowego dnia...

II. Ślady, które prowadzą w przepaść

- To było do przewidzenia.
Słowa te zabrzmiały niemal jak wyrzut. Pułkownik Kociuba podniósł powoli głowę.
- Do przewidzenia? – popatrzył przeciągle na Kaweckiego. – Hm... – podszedł ku oknu otwierając je na oścież. Przez chwilę wdychał łapczywie powietrze. W gabinecie było aż szaro od dymu.
Wreszcie odwrócił się. Twarz jego w niewyraźnym świetle zmierzchu wydawała się jeszcze bardziej zmięta niż przed chwilą.
- Właściwie... – opadł z powrotem na fotel.
- Wystarczyło przeczytać wypowiedzi speców od bryzgania jadowitą śliną na jego temat – ciągnął dalej Kaweckie – albo posłuchać ich oracji przez radio. Zalażł im głęboko za skórę.
- To prawda – dorzucił Suski – jego wystąpienia były bardzo celne. Potrafił wyluskiwać prawdę. Wielu po tamtej stronie mu wierzyło. Wielu wracało. To w niektórych oczach zbrodnia nie do wybaczenia. Nie mogli tego znieść na dłuższą metę.
- Toteż nie znieśli – powiedział głucho Kaweckie. – A my... – machnął ręką.
- Nie było żadnych pogroźek czy „wyroków” – powiedział w zamyśleniu porucznik Kornacki. Był najmłodszy z nich wszystkich i najkrócej pracował w urzędzie. Może właśnie dlatego wystrzegał się wysuwania zbyt pochopnych wniosków. – I wobec tego...
- Nie było? – przerwał mu Kaweckie. – A skąd niby wiadomo?
- Nie wpłynął żaden meldunek ani do nas, ani do...
Kaweckie znowu mu przerwał:
- Meldunek? – wydał wargi. – Trzeba było znać Lebiodę. Ja go znałem. Dobrze go znałem. Listy, wyroki. Gdyby mu nawet przystawili rewolwer do piersi... – zapatrzył się niewidzącymi oczyma w kąt pokoju. – Zupełnie nie myślał o sobie. Nie zameldowałby w żadnym wypadku – powiedział z przekonaniem.
- To jest możliwe – potwierdził ostrożnie Kociuba – chociaż...
- Zresztą – zabrał znowu głos Kornacki – nie mamy dotąd przekonujących dowodów, że morderstwo zostało dokonane właśnie z tego powodu.
- Nie mamy żadnych dowodów – sprecyzował Kociuba.
Kornacki potrząsnął uparcie głową.
- Były już przecież precedensy, jeżeli chodzi o ludzi związanych z tą właśnie akcją.
- Były – potwierdził Kociuba – toteż możemy przyjąć słuszność hipotezy, że morderstwo ma bezpośredni związek z tą działalnością Lebiody w osiemdziesięciu, no niechby nawet dziewięćdziesięciu procentach. Ale pozostałych ewentualności nie wolno nam również w żadnym wypadku zlekceważyć.
- Jasne – zgodził się od razu Kaweckie.
Pułkownik szkicował coś na kartce leżącego na biurku bloku.
- Proponuję następujący plan wstępnego śledztwa... – zaczął metodycznie wyliczać punkt po punkcie.
Słuchali bez większego zainteresowania. Wszystko to było stereotypowe i znane na pamięć.
- Macie jakieś propozycje? – Kociuba zakończył czytanie.
Kaweckie gryzł przez chwilę ustnik pustej cygarniczki.

– Owszem. Proponuję powierzyć dochodzenie w terenie Sierakowskiemu.
– Chodzi wam o włączenie go do zespołu, wyznaczonego do prowadzenia śledztwa?
– Nie. Miałem na myśli pozostawienie mu wolnej ręki. To znaczy, by mógł pracować niezależnie od zespołu.

Pułkownik obracał z zastanowieniem ołówki w palcach.

– Cóż... gdy zbadamy wstępny materiał...

– Nie – Kawecki wyraźnie zapalił się do swego pomysłu. – Sądzę, że o wiele bardziej celowe będzie oddanie mu tej sprawy już w tym momencie.

Suski pokiwał aprobująco głową.

– To wyjątkowy węch śledczy, pułkowniku.

– Ale... niezależnie...

– Powiedzmy raczej: „równolegle” – Suski miał dar dobierania dyplomatycznych wyrażeń.

Kociuba oczekiwał zaskoczenia. Sierakowski nie należał przecież do asów. Twarz młodego oficera śledczego nie zmieniła jednak ani na jotę poprzedniego wyrazu. „Mumia – pomyślał Kociuba – i Kawecki traktuje go jako antyschemat?”

Przystąpił do skrupulatnego omawiania sprawy.

Sierakowski słuchał uważnie, ale widać było, że raczej analizował słowa pułkownika, niż wbijał je w pamięć.

Z dowodami i śladami zdoła się zapoznać na miejscu zbrodni oraz z akt. Wnioski zaś i przypuszczenia... Jego zdaniem im bardziej były własne, tym lepiej.

– Nie ma żadnych pytań? – zakończył Kociuba.

– Nie. Tymczasem nie.

– No, więc życzę powodzenia. I pamiętajcie, że ze względu na rodzaj sprawy konieczne jest jak najszybsze jej wyświeślenie.

– Tak jest.

– Nie znaczy to – dodał szybko Kociuba – bym miał was ponaglać.

– Zrobię, co się da – odpowiedział z prostotą Sierakowski.

Po opuszczeniu gabinetu szczegółowo przeanalizował zaproponowany przez Kociubę plan śledztwa. Pokiwał z uznaniem głową, po czym przystąpił bezpośrednio do układania własnego, który w wielu punktach daleko odbiegał od tego, co proponował pułkownik.

Pierwszą sprawą było gruntowne przestudiowanie materiałów. Technicy śledczy właściwie już zakończyli swoją robotę.

Zebrało się tego sporo: fotografia terenu morderstwa, fotografia zwłok, powiększone fotografie ran, szkice sytuacyjne, protokoły oględzin i sekcji zwłok, odbitki zdjęć daktyloskopijnych...

Na tych ostatnich utknął beznadziejnie. Powędrował do laboratorium.

W krótkich słowach wyjaśnił magistrowi Rzęckiemu, o co chodzi.

– Może te, co pozostawiliście sobie, są lepsze?

Rzęcki uśmiechnął się.

– Służę – rozłożył przed nim prostokąty lśniącego kartonu. – I lupa.

Sierakowski długo wpatrywał się w ciemne, zamazane smugi. Machinalnym ruchem przetaił soczewkę. Wszystko w dalszym ciągu pozostawało mętne i nieczytelne.

– Uff – sapnął odkładając lupę.

Obraz na odbitce przypominał wszystko, tylko nie zdjęcie linii papilarnych. Raczej już jakąś astronomiczną fotografię mgławicy.

Spojrzał z ukosa na magistrza Rzęckiego.

– Niewiele da się z tego wykombinować.

Rzęcki wzruszył niechętnie ramionami. W głębi ducha każde niepowodzenie przy zbieraniu materiału daktyloskopijnego traktował jako osobistą porażkę.

– Niewiele? – sarknął z hamowanym rozdrażnieniem – jeszcze mniej niż nic! Klamek nie czyszczono chyba od całych tygodni. Dotykały ich dziesiątki osób. Dziesiątki – powtórzył, zakreślając palcem zawile zygzaki nad lśniąca powierzchnią odbitek. – Możecie mi wierzyć na słowo. I wiele z tych osób myło ręce niezmiernie rzadko.

Rozłożył odbitki szerokim wachlarzem.

– Na innych ta sama abrakadabra.

Sierakowski jednak znowu sięgnął po lupę, przeglądając skrupulatnie każdą z odbitek po kolei. Bo może coś... Znał się przecież na tym całkiem nieźle.

Ale nadzieja wygasła. Nic, poza smugami zamazanych plam.

– Tak – westchnął wreszcie z rezygnacją – z tej mąki trudno by upiec jakiś chleb...

– Może Salomon zdołałby coś wykombinować – daktyloskop wytarł hałaśliwie nos, co stanowiło u niego oznakę najwyższego wzburzenia – ja się nie podejmuję.

Sierakowski pokiwał z ubolewaniem głową. Salomonowi też by się nie udało. Rzęcki uchodził za jednego z najlepszych specjalistów w tej trudnej dziedzinie.

Potem długie godziny Sierakowski nie odrywał oczu od protokołów, wbijając w pamięć zawarte w nich szczegóły. Dopiero gdy nie pozostało już najmniejsze słówko, którego, obudzony w nocy, nie potrafiłby wyrecytować bezbłędnie, zamknął powolnym, niemal pieszczotliwym ruchem obwolutę. Z tego nie dało się już nic więcej wycisnąć. A tego, co wycisnął, było tyle, co kot napłakał.

Luśniak ożywił się na jego widok. Nudził się piekielnie na dyżurze, w czasie którego nic się nie działo. Bo cóż mogło się dziać w mieszkaniu, z którego już wyniesiono zwłoki zamordowanego? Na dziesiątej ulicy wiedziano, że gospodaruje tu Urząd Bezpieczeństwa. Kto by się tam pchał, szczególnie jeśli chodziło o kogoś mającego jakiś związek ze sprawą? Nie sarknął jednak, choć ataki ziewania rozdzierały mu usta. Mimo wszystko mogło się przecież zdarzyć rozmaicie. Bywały wypadki, że całkiem niezła zwierzyna wpadała na oślep do pułapki, którą właściwie trudno by nazwać zamaskowaną.

– Więc tobie powierzono sprawę?

Sierakowski tarł z zapalem czubek nosa.

– Hm... tak jakby...

– Bardzo się cieszę – to było zupełnie szczerze.

Mało kto w urzędzie nie lubił Sierakowskiego. Poza tym sposób, w jaki rozwikłał ostatnią sprawę, wzbudził nieklamany podziw nawet wśród starych speców. Wypadało coś odpowiedzieć na te życziwe słowa. Sierakowski jednak nie odpowiedział.

Ale nie stało się to bynajmniej z braku uprzejmości. Po prostu był już bez reszty pogrążony w rozmyślaniach.

Po chwili ukląkł i posuwając się na kolanach zaczął badać cal po calu zakurzoną podłogę małego przedpokoiku.

Ciemna plama wskazywała dokładnie miejsce, w którym padł zamordowany. Przypomniał sobie dane z akt. „Oba strzały oddane z odległości 20-30 centymetrów”? Hm... – przykładał niemal lufę do tafla posadzki. „Kierunek strzałów ukośny”? Próbował odtworzyć w wyobraźni scenę mordu. Musieli strzelać bezpośrednio po wejściu. Stali gdzieś po obu stronach drzwi wejściowych. Przemierzył odległość za pomocą składanej miarki. Pokręcił w zamyśleniu głową. Raczej dwadzieścia niż trzydzieści. W przeciwnym wypadku musieliby stać za drzwiami. Albo na progu. A strzelanie przy otwartych drzwiach... Choćby nawet użyli tłumików. Nie, to było zbyt ryzykowne. Raczej je zamknęli, a potem... To znaczyłoby, że albo Lebioda znał przybyszów, albo też zdołali w jakiś sensowny sposób upozorować przyjście.

Przebiegł w myśli wszystko, co wiedział o zamordowanym. No, tak. U niego nie było o to trudno. Zamknęli drzwi i stanęli... Gdzie?

Opuścił się na czworaki. Jeśli chodziło o ślady stóp, sytuacja wyglądała beznadziejnie. Wprawdzie pokój był chyba od kilku dni nie sprzątny, ale podłogę deptały liczne podeszwy już po morderstwie. Przeszukiwał centymetr po centymetrze. Zatrzymał się nagle. Jak wynikało z kierunku otworów wlotowych kul, jeden z morderców powinien stać gdzieś tutaj? Zdmuchnął ostrożnie kurz. Cieniutka kreska odcinała się jaśniejszą barwą na drewnianej tafl.

Po chwili nie pozostawało już miejsca na żadne wątpliwości. Posadzka była w tym miejscu lekko zarysowana. I to zupełnie niedawno.

Błaszka na obcasie? – przyglądał się w skupieniu. Nie. Kształt rysy nie pasował. Raczej na czubku podeszwy. Krawędź musiała być lekko odgięta. Ale w takim razie... – przesunął się na to miejsce. Wycelował metalową miarkę w kierunku ciemnej plamy. Jeżeli bieg pocisku... Potarł czubek nosa. Coś tu było nie tak...

Wstał stawiając stopę w taki sposób, by nie istniejąca blaszka nakryła dokładnie rysę. Podniósł rękę. Przeprowadził w myśli linię od wyimaginowanej lufy do ciemnej plamy. Przypomniał sobie szczegóły protokołu obdukcji zwłok. Potrząsnął z zakłopotaniem głową. Kanał przelotu kuli był zupełnie nie taki, jaki być powinien. Tego nie potrafił zrozumieć. Czyżby lekarz się pomylił? To było przecież niemożliwe.

– Zygmunt! – zawołał dyżurującego wywiadowcę – stań no tutaj! – wskazał plamę.

Luśniak przymrużył porozumiewawczo oko.

– Chcesz odtworzyć scenę morderstwa?

– Uhum...

– Dobra – usłuchał ochoczo – tylko bez zbytniego realizmu – roześmiał się – nie chciałbym, żeby i moja obdukcja figurowała z kolei w aktach.

Sierakowski nie odpowiedział. Wyglądało, jakby w ogóle nie dosłyszał ostatnich słów.

– Trochę w lewo – poprawił Luśniaka – tak... teraz dobrze. – Odszedł ku zadrapaniu posadzki. Wycelował. Zagwizdał przez zęby. Nie, wciąż nie to.

– Co cię gnębi? – zapytał Luśniak.

– Kierunek strzału nie klapuje.

– Może stał w innym miejscu?

– Nie, właśnie tutaj – opowiedział o odkrytej rysie.

Luśniak pokiwał głową z niekłamanym podziwem.

– Błaszka na czubku podeszwy? To już, bracie, coś. Tylu przed tobą szperało i żaden tego nie odkrył.

Sierakowski wzruszył ramionami.

– Dużo z tego przyjdzie... Dziesiątki tysięcy ludzi używają takich blaszek.

– Dziesiątki tysięcy, to już i tak nie wszyscy...

Sierakowski znowu podniósł ramię, jakby strzelał, i znowu opuścił. Nagle klepnął się z rozmachem w czoło, aż plasnęło rozgłośnie. Tym razem podniósł lewą rękę.

Luśniak w pierwszej chwili wytrzeszczył ze zdumienia oczy. Zaraz jednak zrozumiał.

– Mańkut?

– Hm... – linia teraz odpowiadała wlotowemu kanałowi – coś na to wygląda.

– No, wiesz! – Luśniaka ogarnął prawdziwy entuzjazm. – Nie darmo ludzie zazdroszczą ci nosa. Mańkut z blaszką na czubku podeszwy. Czy i teraz powiesz, że to nic takiego?

Sierakowski również się ożywił.

– Tak... to byłoby... – nagle przygasł. – Strzał z lewej ręki nie dowodzi jeszcze mańkuta – mruknął smętnie – oni nie takie rzeczy umieją wyczyniać dla powikłania tropu, nie takie – powtórzył. Pogrążył się w milczeniu przeszukując resztę małego mieszkanka.

Ledwo dostrzegalny odprysk kleju na blacie biurka zadał mu sporo roboty. Klej był roślinny, taki, jakiego się używa do papieru. Z którejś koperty? Przejrzał skrupulatnie wszystkie. Żadna jednak nie nosiła śladów dodatkowego klejenia.

Piec? Ba...

Otworzył machinalnie drzwiczki, choć z akt wiedział, że popiół został wygarnięty i że nie zdołano odcyfrować treści jakiegoś niedawno spalonego papieru.

Piec ział pustką. Opróżniono go z całą dokładnością. Zamyślił się wpatrzony w ciemny otwór.

Co zostało w tym piecu spalone i kto spalił?

Ale na to pytanie nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

Minęły dobre dwie godziny zanim zdecydował się wreszcie opuścić mieszkanie.

– No i co? – zagadnął go Luśniak przy wyjściu. Od chwili dokonanych przez Sierakowskiego odkryć wciąż oczekiwał dalszych sensacji.

Sierakowski wpatrywał się ze zrezygnowaną miną w prostokąt wycieraczki leżącej przed drzwiami.

– Kiepsko, bracie – uśmiechnął się smętnie.

Luśniak obruszył się. Zniżył głos do szeptu:

– Blaszką, mańkut, to przecież...

Sierakowski nie słuchał dalszego ciągu. Pożegnał go przyjaznym gestem. Mańkut, blaszka? Tak... W sprzyjających okolicznościach to mogło dać coś, ale mogło również skończyć się kompletnym fiaskiem.

Po drugiej stronie podestu mieściły się biura zespołu adwokackiego. Sierakowski pokręcił głową. Przyjęcia dopiero od dziewiątej. Orzeczenie lekarskie wskazywało, że morderstwa dokonano o wczesnym świcie. Puste mieszkanie? To mogłoby zmienić nieco scenę mordu. Nie potrzebowaliby się w takim wypadku zbytnio krępować. Jeden stał w miejscu zadrapania posadzki. Tego był pewien. Ale drugi?

Na następnym piętrze również tylko dwoje drzwi. Mała tabliczka z oksydowanego brązu: „Dr Paweł Białkowski”. Ani specjalności, ani godzin przyjęć, nic. Ale nazwisko nie było obce. O operacjach przeprowadzanych przez Białkowskiego szeroko rozpisywano się w prasie. Na pewno ten sam: Paweł. Pamiętał dokładnie.

Po drugiej stronie wielka porcelanowa tablica. Jaskrawe złoto wymyślnie powykęcanych liter: „Eustachy Zenobiusz Kruszyński”.

Zszedł na podest pierwszego piętra. Mieszkanie znanego aktora. Często spotykał jego nazwisko na afiszach. Po przeciwnej stronie literat.

Słyszał coś o nim. Ale nie umiał sobie przypomnieć, przy jakiej okazji.

Na górze trzasnęły drzwi. Sierakowski zaczął odruchowo nasłuchiwać. Oczywiście biuro zespołu. Bo przecież nie mieszkanie Lebiody.

Szybki, energiczny krok. Sierakowski zerknął przez ramię. Dość wysoki, postawny mężczyzna. Eleganckie ubranie. Niewątpliwie robione na miarę. I to u pierwszorzędnego krawca. Na obuwiu spojrzał raczej dla spokoju sumienia. Taki nie będzie nosił blaszek. Gładko wygolona twarz utrudniała określenie wieku. Pewnie w pobliżu pięćdziesiątki. Wszystko razem zdawało się wskazywać na adwokata. Musiało mu się dobrze powodzić.

Na ułamek sekundy zetknął się ich wzrok. Spojrzenie źrenic ołowianego koloru było natarczywe, niemal kłujące.

Więcej pasuje na prokuratora niż na obrońcę – skonstatował w duchu. – Albo nawet hm... – wyraz oczu nieznanego wydał mu się wyjątkowo nieprzyjemny.

Rozmowę z dozorcą zostawił sobie na sam koniec. Wolał już być zorientowany w topografii terenu.

Dyżurka znajdowała się na parterze. Nadspodziewanie obszerny lokal. Oprócz niej i zejścia do piwnicy żadnych innych drzwi.

Wchodząc do dyżurki Sierakowski nie spodziewał się bynajmniej entuzjastycznego przyjęcia. Fijka musiano już wymagać porządku. Czytał zresztą jego zeznania.

Ale zachowanie dozorca zaskoczyło go jednak. To już była ledwo maskowana wrogość. I te czujne, rozbiegane oczy. Jakby się czegoś obawiał. Czego? Czyżby miał coś na sumieniu?

Sierakowski wyrobił sobie własny sposób przesłuchiwania. Ani krzty groźnej oficjalności. Ot, po prostu pogawędka prowadzona jak najbardziej zdawkowym tonem. W ten sposób ludziom łatwiej było można rozwiązać języki.

Tutaj jednak ten system całkowicie zawiódł. Fijek odpowiadał powściągliwie, cedząc skąpe słówka przez zęby. Wyglądało, jakby zastanawiał się nad każdym oddzielnie.

Na pytanie o doktora Białkowskiego jakiś przelotny cień przesunął się przez jego źrenice. Trwało to ułamek sekundy, nie tak jednak krótko, by Sierakowski nie zdążył zauważyć.

Tak, to właśnie ten sam sławny chirurg, o którym rozpisują się w gazetach. Profesor. Nie... Teraz już nie wykłada... Przeszedł od zeszłego roku, chociaż bardzo go podobno prosili, żeby nie odchodził. Skąd ma wiedzieć, dlaczego? Może ze względu na zdrowie, może z powodu nawału pracy w szpitalu. Przesiaduje tam od rana do późnej nieraz nocy. Ludziska pchają się jak muchy do miodu. Na kolanach błagają, żeby ich operował.

To brzmiało niemal jak uwielbienie. Fijek opanował się po chwili. Jakby się nawet przestraszył swej szczerości.

– Tak wszyscy mówią – dorzucił w formie komentarza. – Poza tym bardzo spokojny lokator – zakończył oschle. Jeszcze raz ożywił się, gdy rozmowa zeszła na temat Kruszyńskiego.

Ale tym razem było to ożywienie całkiem odmiennego rodzaju.

– Och... Ten to rzeczywiście ciekawy typ, obywatelu śledczy. Prywatna inicjatywa. Spekulant, jednym słowem. Jeden sklep za coś tam mu zlikwidowali, to w try miga otwiera następny. I to jaki. Musi mieć ciężką forszę. To, wiecie, z tych, co jak ich wrzucić w przerębel, natychmiast drugim wylażą i jeszcze kopę najlepszych ryb w pysku wynoszą. W ogóle... – umilkł, zapalając papierosa.

– Jak się nazywa ten adwokat? – zapytał po chwili Sierakowski opisując mężczyznę spotkanego na schodach.

– Ach ten... – Fijek uśmiechnął się lekceważąco. – Taki to i adwokat, choć że niektórym udziela porad na boczku, to fakt. No, prawnikiem to jest, tego mu nikt nie zaprzecza. Ale do adwokata daleko. Kierownik kancelarii zespołu, ot co.

Sierakowski zapatrzył się w okno. Musieli płacić jakieś niezwykle wysokie wynagrodzenia w tym zespole. Ubrany był wyjątkowo elegancko. To kosztowało spory kawał grosza.

Reszta rozmowy niewiele dała. Niemal dokładnie to, co w protokole poprzedniego przesłuchania.

– Tak, redaktora Lebiodę odwiedzali dziwni ludzie. Chuligani, nie chuligani... Diabli wiedzą... Niektórzy to tak wyglądali, jakby dopiero co wyszli z ciężkiego kryminału. Co dla takiego wyciągnąć nóż z zanadru? Bo to raz mówiłem redaktorowi: Trzeba uważać. Diabli wiedzą, co komu może strzelić do łba. Śmiał się: „Mnie tam żaden krzywdy nie zrobi”. No... nie zrobił... – westchnął ciężko. I westchnienie to bynajmniej nie sprawiało wrażenia udanego. – Ale on już taki był – podjął po chwili. – Nie obchodziło go, czym człowiek jest, tylko to, co z niego można zrobić. Lubił wyciągać ludzi z błota za uszy. Co tam „lubi”... Mówił, że to jest jeden z celów jego życia.

– Znaliście dobrze redaktora?

Znowu jakby wyraz czujności. Zgasł zresztą natychmiast.

– I jak jeszcze. Nieraz to i godzinę przegadał, choć zawsze był taki zalatany. Siadywał na tym samym stolku, na którym teraz wy siedzicie. Mogliście poradzić się go w każdej sprawie. Nigdy nie wyśmiał, że głupstwo... Nawet z moim chłopakiem gadał jak z równym. To był taki człowiek, że... – urwał zaciągając się głęboko dymem papierosa.

Twarz pomroczyła. Oczy zaczęły patrzeć szklisto. Żal był głęboki. I wyglądał na szczerzy.

W pewnym momencie do dyżurki zajrzał chłopak. Na oko jakieś trzynaście lat. Wystarczyło jedno spojrzenie, by nie mieć wątpliwości, że to rodzony syn Fijka. Jakby zmniejszona odbitka z tej samej fotografii. Reakcja dozorca była dziwnie gwałtowna. Zamachał na niego rękoma.

– Wynoś się! Nie przeszkadzaj! Nie widzisz, że jestem zajęty?!

Ruchy jego rąk jakby wypychały chłopaka z dyżurki.

Brzmienie głosu zastanowiło Sierakowskiego. To nie było tylko zniecierpliwienie. Akcenty trwogi? Wywiadowca wydawał się w tej chwili zajęty bez reszty obserwowaniem papierosa, którego ugniatał palcami. Jego oczom nie uszedł jednak najmniejszy szczegół zachowania się ich obydwu.

Gdy chłopak ociągał się z wyjściem, Fijek niemal wrzasnął. Wyszedł wreszcie. Ale jego odejście kryło w sobie powstrzymywany bunt.

To było bardzo wygodne, że restauracja znajdowała się akurat na wprost bramy numer osiem. Tym numerem był bowiem oznaczony dom, w którym zamordowano Lebiodę.

Sierakowski nie budował zresztą zbyt wiele nadziei na obserwacji. Możliwość jednak zerknięcia od czasu do czasu na teren zbrodni bez zwracania uwagi była nie do pogardzenia.

Firanka zasłaniała go dokładnie od strony ulicy. Szerokie zaś jej oczka nie przeszkadzały zbyt w obserwowaniu bramy i jej najbliższej okolicy.

Popijając oszczędnie łykami piwo zastanawiał się nad wynikami dzisiejszego dnia. Blaszką i mańkut albo w każdym razie ktoś, kto potrafi się równie sprawnie posługiwać lewą ręką, jak i prawą. To były oczywiście zaledwie drobne ziarnka piasku. Ale przy sprzyjających okolicznościach mogły rozrósć się w górę, która zmiażdży zbrodniarzy.

Tylko te sprzyjające okoliczności... Otóż to...

Na dworze było już prawie ciemno. We wnęce przeciwległej bramy zapłonęła żarówka. Właśnie dzięki niej rozpoznał twarz Fijka. Dozorca postąpił chwilę, potem ociągającym krokiem wyszedł na ulicę.

Obejrzał się w jedną stronę. Następnie popatrzył w drugą. Wyglądało, jakby to wszystko czynił od niechcenia.

Sierakowski podniósł leniwie kufel do ust. Wyglądało... Nie dla niego taka gra. Ten człowiek był w strachu. Jasne. Może chciał sprawdzić, czy dom znajduje się pod obserwacją, może co innego? Ale raczej właśnie to pierwsze.

Dlaczego go to obchodziło? Dlaczego się tego obawiał? Obydwaj Fijkowie stanowili jakąś zagadkę, to było widoczne. Czy miała związek z morderstwem? Pozory zdawały się na to wskazywać. Pozory jednak nie wystarczały. Musi zdobyć pewność. I rozgryźć, co w trawie piszczy.

Fijek zniknął. Powoli myśli Sierakowskiego zmieniły kierunek. Gdy późnym wieczorem wracał do domu, w głowie rysował się już pewien plan. Był jeszcze bardzo mglisty, z każdą chwilą przybierał jednak coraz bardziej konkretne kształty.

Pułkownik Kociuba słuchał uważnie, po czym zamyślił się.

– Cóż – przerwał wreszcie milczenie – oczywiście, nie można wykluczyć, że te dwie sprawy mają ze sobą jakiś związek. Ale...

– Sposób dokonania morderstwa wskazuje, że nie mogli go dokonać nowicjusze w tym „fachu” – podsunął Sierakowski.

Pułkownik pokiwał potakująco głową.

– Słusznie. Muszę was jednak uprzedzić, że jak dotąd materiał tamtego dochodzenia widłami na wodzie pisany. Ale nie mam nic przeciwko temu, żebyście spróbowali. Nie – potrzęsnał głową – wręcz przeciwnie. Może...

Podniósł słuchawkę, rzucając do mikrofonu kilka słów.

– Szczęśliwie się składa, że Kuraś akurat jest w urzędzie – odwrócił się do Sierakowskiego. – Powiadomiłem go o wszystkim. Czeka na was. Powodzenia.

Kuraś rzeczywiście czekał. Nastrojony był całkiem sceptycznie.

– Istnieje gdzieś komórka terrorystyczna, spełniająca mokrą robotę na zlecenie mocodawców z zagranicy. To fakt prawie pewny. Istnieje facet, któremu depczą po piętach. To również fakt. Ale czy gość ma coś wspólnego z komórką... – wzruszył ramionami. – Nawet nie nić, tylko pajęczyna. Albo i jeszcze mniej. Diabli wiedzą, czy coś się z tego w ogóle wykluje. Ano, bardzo jestem rad ze spółki. We dwóch zawsze różniej.

*

Raz luksusowa kawiarnia, kiedy indziej obskurna spelunka na peryferiach miasta. Gość w każdym razie miał dziwaczne upodobania.

Sierakowski obejrzał go na wszystkie strony: ani blaszek, ani mańkut. Nie rozczarowało go to zbytnio. Wcale na to nie liczył, by od razu, za pierwszym zamachem, miał trafić.

Ale jeżeliby naprowadził na ślad komórki?!

Tymczasem jednak nie zanosilo się na to.

Kuraś zaciskał zęby, klnąc na czym świat stoi. Niemal zaczynał już tracić nadzieję. Gość, owszem, spotykał się z wieloma osobami, z którymi o czymś ugwarzał ściszym głosem. Większość z nich udało się zidentyfikować. Niektórzy okazali się dość niewyraźnymi typami. Nie zarejestrowane pośrednictwo, spekulacja i tym podobne. Może nawet handel walutą. A nie o to przecież w tym wypadku chodziło. Sporządzono raporty, ptaszków zaś chwilowo nie ruszano. Nie należało płoszyć zwierzyny.

Sam Bielicki – tak się bowiem nazywał obserwowany – sprawiał wrażenie postaci najzupełniej praworządnej. Pracował w jednej z instytucji spółdzielczych na pracach zleconych. Zameldowany. Dowód osobisty jak złoto. Nawet przydział na kawalerkę, w której zamieszkiwał – w całkowitym porządku. Po posiedzeniach w zakładach gastronomicznych najrozmaitszego typu – teatr albo skromny powrót do domu. To było wszystko.

Esencjonalność poszlak, na podstawie których Kuraś wpadł na trop, zdawała się wietrzeć z każdym dniem.

Czyżby ślad był fałszywy i cała sprawa polegała jedynie na wykroczeniach przeciwko przepisom natury gospodarczej? Kuraś nie rezygnował jednak. Bo jeżeli pod pokrywką handlowych rozmów kryło się całkiem co innego? Tacy potrafią puszczać pył w oczy. Do tego rodzaju roboty nie biorą przecież nieopierzonych żółtodziobów. Nie rezygnował również Sierakowski. Może kiedyś w końcu... Zresztą nie widział chwilowo żadnej innej drogi. Obserwacja Fijka, któremu przydzielono „anioła stróża”, nie dawała absolutnie żadnych rezultatów. Tak samo obserwacja domu i pozostałych lokatorów.

Bielicki stanowił w tej chwili jedyną nadzieję popchnięcia sprawy naprzód. Trzymał się go więc kurczowo, choć tropienie było uciążliwe i sprawiało masę kłopotów.

Najwięcej złościła konieczność ustawicznego przebierania się i charakteryzacji. „W końcu stanę się czymś w rodzaju powieściowego Nata Pinkertona albo w najlepszym razie zyskam kwalifikacje podrzędnego aktora”.

Kuraś jednak pod tym względem pozostał nieubłagany. „Niech tylko zauważy, że mu ktoś łązi po piętach, cała sprawa od razu leży na obie łopatki. Już i tak się rozgląda na wszystkie strony. Wystarczy, żeby sobie przyuważył dwa razy tę samą twarz i adieu Fruziu”.

Trzeba było ustępować. Zresztą w głębi duszy przyznawał mu rację. Taka nieostrożność była niedopuszczalna. Siedział więc długie kwadranse przed lustrem, zmieniając swą powierzchowność.

Aż wreszcie któregoś dnia...

Nie, jegomość, który przysiadł się do stolika Bielickiego, nie odznaczał się niczym szczególnym. Mógł być równie dobrze, jak i inni jego kontrahenci, pośrednikiem zajmującym się sprzedażą miejskich nieruchomości. Albo handlarzem walut czy kimś w tym rodzaju. I ubranie, i sposób bycia najzupełniej by to przypuszczenie utwierdzały. Tylko gdy założył nogę na nogę i pokazał podeszwy...

Sierakowski stęzał. „Głupstwo – mitygował się w duchu – dziesiątki tysięcy ludzi używa blaszek do obuwia”.

Ani na chwilę jednak nie spuszczał już z nieznajomego oczu, choć niezmiernie trudno byłoby to zauważyć.

Ujmuje filiżankę – Sierakowski z trudem stłumił odruch rozczarowania. Filiżanka tkwiła w prawym ręku. Minęła dłuższa chwila. Teraz sięga po papierosy. Uczynił to lewą ręką. Może tylko dlatego, że pudełko znajdowało się w kieszeni po lewej stronie marynarki? Ale dlaczego znajdowało się akurat tam? W czasie manipulacji przy zapalaniu papierosa nadzieja znowu zaczęła krzepnąć.

Nieznajomy nie był mańkutomem w ścisłym tego słowa znaczeniu. Ale w każdym razie posługiwał się lewą ręką równie chętnie jak i prawą.

Jeżeli do tego dodać blaszki na podeszwach...

Oczywiście mógł to być przypadkowy zbieg okoliczności. Należało jednak zbadać sprawę do końca.

– Pójdę za tym drugim – rzucił z taką miną, jakby opowiadał doskonały kawał. Kuraś roześmiał się na całe gardło.

– Świetnie – walił się po kolanie. – Muszę to puścić w kurs. Myślisz, że to twój człowiek? – zapytał cicho.

– Czy ja wiem? To się okaże przy zamiataniu.

Pożegnali się ostentacyjnie. Sierakowski ruszył ku wyjściu. Korzystając z tłoku skręcił niepostrzeżenie ku garderobie.

Kiedy opuszczał kabinę toaletową nikomu nie przyszłoby na myśl utożsamiać go z mężczyzną, który wszedł do niej przed pięcioma zaledwie minutami. W kawiarni było tłoczno. Sierakowski rzucił przelotne spojrzenie. Tamten jeszcze siedział. W porządku.

Po wyjściu na ulicę przystanął w ciemnej wnęce sąsiedniej bramy. Drzwi kawiarni trzaskały niemal ustawicznie. Nie podnosząc głowy strzelał uważnym spojrzeniem. Alarmy okazywały się fałszywe. Tamten wciąż jeszcze tkwił we wnętrzu. Czyżby zamierzał przesiedzieć do zamknięcia lokalu? Z trudem tłumiał rosnące zniecierpliwienie.

Po upływie kwadransa nieznajomy stanął w drzwiach kawiarni. Sierakowski przylgnął ciasno do muru, stając się niewidoczny w mroku wypełniającym wnękę.

Potem ruszył za nim, zachowując bezpieczną odległość. Dość liczni przechodnie spełniali rolę mimowolnych parawanów. Kto wie, czy się nie obejrzy. Obejrzał się rzeczywiście. Potem powtórzyło się to kilkakrotnie. Ale nic nie wskazywało, że zauważył. Nie tak łatwo zresztą byłoby zauważyć Sierakowskiego, gdy pragnął tego uniknąć.

Minęli jedną ulicę, drugą.

Nagle zatrzymał się. Jeszcze jedno podejrzliwe zerknięcie dookoła. Wszedł do oświetlonych drzwi. Znowu lokal gastronomiczny. Tym razem znacznie podrzędniejszej kategorii. Coś pośredniego pomiędzy jadłodajnią a barem.

Sierakowski przeczekał chwilę i wszedł również. Nie było niebezpieczeństwa, by tamten mógł go poznać. Zresztą wątpliwe, czy w ogóle zwrócił na niego w poprzednim lokalu specjalną uwagę.

Swobodnym krokiem ruszył w kierunku barowego kontuaru. Nie rozglądał się bardziej, niż uczyniłby to każdy gość wchodzący na kufel piwa.

Nieznajomy dosiadł się do stolika zajętego przez znacznie młodszego od siebie mężczyznę. Umówione spotkanie? Oczywiście, że tak.

Sierakowski wdrapał się na wysoki stołek. Stąd miał bardzo wygodne pole obserwacji.

Nachyleni ku sobie rozmawiali o czymś z żywieniem. Dałby wiele, by móc dosłyszeć choć parę słów. Ale podchodząc bliżej naraziłby się na zbyt wielkie ryzyko.

Zamówił piwo płacąc od razu. W ten sposób zachował swobodę ruchów. W pewnych sytuacjach nawet ułamki minut miały swoje znaczenie.

Powoli sączył ciepławy napój. Kto wie, jak długo przeciągnie się to posiedzenie.

Nie przeciągnęło się jednak. Zaczęli się rozglądać. Chcą przywołać kelnera?

Jednym haustem przełknął resztkę piwa, odstawiając niedbałym ruchem opróżniony kufel.

Leniwie zaczął lawirować pomiędzy ciasno stłoczonymi stolikami. Wzrok tego z blaszkami przelotnie musnął jego twarz. Oczy patrzyły czujnie i badawczo. Ale nie było w nich błysku poznania czy choćby zastanowienia. Patrzył tak jak i na wszystkich innych.

W momencie, gdy za plecami opadła kotara zasłaniająca wejście, dotychczasowa ospałość ruchów Sierakowskiego zniknęła bez śladu. Jednym skokiem znalazł się w pobliskiej bramie. Jakaś pachnąca kotami klatka schodowa. Przewrócił płaszcz na ciemną stronę. Kapelusz zmienił na beret. Oczy skryły się za okularami. Półmrok panujący na ulicach zastąpi resztę charakterystyki. Wszystko razem trwało niespełna minutę. Wyrzwał z bramy. Właśnie wychodzili. Gdy mijali go, padło słowo „doktor”. Nastawił uszu. Doktor? To mogło być ciekawe! Nic więcej jednak usłyszeć nie zdołał. Szli szybko.

Ulice stawały się coraz bardziej bezludne. To komplikowało zadanie. Na szczęście latarnie były znacznie rzadsze, zaś niemal czarny płaszcz ułatwiał krycie się w mroku. Gumowe podeszwy zapobiegały powstawaniu jakichkolwiek odgłosów. Sierakowski od dawna już przestał być nowicjuszem w służbie. Oglądali się nieraz. Niekiedy nawet przystawali. W pewnym momencie dojrzał błysk lusterka. Wydał lekceważąco wargi. Stary trick. Ale to dowodziło, że nie było dla nich obojętne, kto idzie z tyłu. Gorączka myśliwska rosła. Trop nabierał z każdą chwilą atrakcyjności. Jakies lepsze ptaszki. Czyż ludzie nie mający poważnych podstaw do obawy zachowaliby się w ten sposób?

Ośmielony powodzeniem, przybliżał się coraz bardziej. Żeby tak ułović jeszcze kilka słów.

O mały włos nie skończyło się katastrofą. Stanęli raptownie, w momencie, gdy tego zupełnie nie oczekiwał. Ledwo zdążył przywrzeć do muru mijanego domu. Stał bez ruchu, wstrzymując oddech. Miał nadzieję, że zagęszczona pod wysoką ścianą ciemność skryła go przed ich widokiem. Pewny jednak nie był. Przeżył bardzo przykre chwile. Tamci zachowywali się swobodnie robiąc wrażenie dwóch znajomych, którzy zamieniają ostatnie słowa przed pożegnaniem. Błysnęła zapałka. W ciemności rozjarzyły się ogniki papierosów. W istocie rozglądali się długo i bardzo uważnie. Dostrzegł lśnienie wysilających się oczu. Przesłonił swoje powiekami. Fosforyczny błysk oczu w mroku, to bardzo zdradliwa rzecz.

– Zdaje się, że powietrze czyste – mruknął wreszcie chropowaty głos.

– Hm... wygląda, że nikogo nie ma – odpowiedział drugi. – Ale trzeba uważać...

Szczególnie jak się idzie do punktu. Szef mówił, że nam depczą po piętach. No, ale chodźmy... Nie miejsce na przemówienia.

Sierakowski był napięty jak struna. „Szef”, „punkt”, „depczą po piętach”? Czegóż mógł jeszcze żądać więcej?

Ogarnęła go nagle chęć natychmiastowego zatrzymania obydwu. To, że tamtych było dwóch i niewątpliwie gotowych na wszystko, nie powinno mieć żadnego wpływu na podjęcie decyzji. Pistolet tkwił już pod ręką w kieszeni płaszcza.

Po krótkim wahaniu zrezygnował jednak z zamiaru. Aresztowanie w momencie, gdy mieli zaprowadzić do meliny, w której na pewno siedzi cała szajka, stanowiłoby niedopuszczalny błąd.

Najgorsze, że nie miał żadnej możliwości porozumienia się z urzędem. Gdyby go sprzątnęli, nic, którą udało mu się wyłowić, zatonełaby z powrotem. A taki wypadek nie należałby do rzędu wyjątkowych. Ruszyli dalej, przyspieszając tempa z każdym niemal krokiem. Teraz nagle zaczęło się im spieszyć.

A w odległości kilkunastu metrów za nimi sunął, kryjąc się w mroku, Sierakowski.

Pułkownik Kociuba przetarł z namysłem szkła okularów.

– Dobrze, żeście nie czekali do jutra.

Kuraś potrząsnął głową.

– Wyraźnie zapowiedział mi, żebym natychmiast zameldował, gdy tylko mój pójdzie spać.

– I poszedł? – uśmiechnął się lekko pułkownik.

– W każdym razie odstawiłem go do domu. Tam już opiekę przejął ode mnie towarzysz Buzek.

– Zauważyliście coś ciekawego?

– Niestety niewiele. Dziś jeszcze mniej niż zawsze. Przesiedział w kawiarni do dwudziestej pierwszej, oczywiście konferując z tego samego rodzaju typkami. Nic konkretnego nie dało się z tego wszystkiego wyłowić. Z kawiarni zaś, wbrew swemu zwyczajowi, pomaszerował prosto do domu.

– A... – pukanie przerwało dalsze słowa. Kociuba zerknął pytająco na drzwi. – Proszę – rzucił niezbyt zachęcająco.

Na progu stanął kapitan Kawecki. Był już w płaszczu.

– Dowiedziałem się, że podobno Kuraś coś przyniósł.

– Dobrzeście trafili – wskazał wzrokiem siedzącego wywiadowcę – włączcie i zamykajcie drzwi. Są nowiny. Prawie mańkut... i blaszka na podeszwie – streścił raport Kurasia. – Na pierwszy rzut oka pasuje. Gratuluję pomysłu.

Kawecki jednak nie miał miny triumfatora. Przeciwnie, zafrasował się.

– I poszedł za nim sam? – masował gładko ogolony podbródek. – Jeżeli nasze podejrzenia odpowiadają prawdzie, ludzie ci nie działają w pojedynkę. I w tej sytuacji taka eskapada jest co najmniej ryzykowna. Dlaczego nie zawiadomił urzędu o zamiarze śledzenia?

– Nie było żadnej możliwości – wyjaśnił Kuraś. – W kawiarni tej nie ma telefonu... ja zaś...

– Kuraś nie mógł spuszczać oczu ze swego typu – uzupełnił pułkownik.

– Tak – Kawecki miał coraz bardziej ponurą minę. – O której za nim wyruszył?

– O dziewiętnastej czterdzieści sześć – odpowiedział z pedantyczną dokładnością

Kuraś.

– To znaczy, przeszło dwie godziny temu – kapitan zerknął na wysunięty spod mankieta zegarek – a przez dwie godziny mogą być Bóg wie gdzie.

– Powinniśmy mieć wiadomość – pocieszył go pułkownik – Sierakowski zapowiedział bowiem, że najpóźniej do dwudziestej czwartej skomunikuje się z nami bez względu na to, co by zaszło.

– Bez względu na to, co by zaszło – powtórzył Kawecki, zapalając powolnymi ruchami papierosa. – To jednak nie jest takie ścisłe.

Ściągnął płaszcz, podchodząc ku stojącym w rogu gabinetu szaragom.

– Pozwolicie, towarzyszu pułkowniku?

– Zostajecie?

Spojrzał na niego ze zdumieniem.

– A jakżeby inaczej?

III. Ludzie po tamtej stronie zasłony

Skrupulatnie dosunięte story zasłaniały na głucho zamknięte okno. To oczywiście nie mogło budzić podejrzeń. Nikt nie lubi, gdy mu się zagląda do wnętrza mieszkania, szczególnie po zapaleniu świateł.

W niewielkim pokoju stało stęchłe, na wskroś przepojone mdłym odorem nikotyny powietrze. Było gorąco i duszno.

Rozparty w fotelu łysy człowiek coraz niespokojniej zerkał na wskazówki zegara. Usiłował to czynić w sposób niedostrzegalny dla otoczenia. Niedobrze okazywać podwładnym niepokój.

W tym mieszkaniu nazywano łysego człowieka krótko „szefem”. Byli tu tacy, którzy znali jedno z jego nazwisk. Ale prawdziwie znał tylko jeden człowiek i bynajmniej się nie kwapił z ujawnianiem. Szef tym razem spojrzał na zegarek całkiem otwarcie.

– Powinni już być – powiedział gniewnie.

Kobieta ziewnęła, przesłaniając niedbałym ruchem dłoni jaskrawo umalowane usta.

– Te kilka minut...

– Minuty w naszych sprawach mogą decydować o wszystkim – popatrzył na nią złym wzrokiem. – Po tym zaś, jak szpicle zaczęli głęboko wsadzać nosy w tamtą sprawę tym bardziej.

– Tak – potwierdził szybko przysadzisty mężczyzna o rzadkich, niemal bezbarwnych rzęsach i brwiach, zwany tutaj „Czarnym”. – Jeśliby ich przyskrzynili, leżymy wszyscy.

– Trzeba będzie sprawdzić, co się dzieje – zdecydował po krótkim namyśle szef.

W kącie pokoju siedział szpakowaty, wytwornie ubrany mężczyzna. Wzrok jego, ni to znudzony, ni to senny błędził gdzieś po suficie. Sprawiało wrażenie, jakby cała ta rozmowa nie interesowała go.

– Jak pan uważa, doktorze? – zagadnął go szef.

Wzruszył leniwie ramionami.

– Czy ja wiem... Może i rzeczywiście nie zaszkodziłoby sprawdzić – odpowiedział leniwie, poprawiając kant nienagannie zaprasowanych spodni.

– Pójdzie więc... – szef zawahał się. Czarny raczej nie nadawał się do tego rodzaju poleceń. Doktor zaś... Nie, doktor w tym wypadku w ogóle nie wchodzi w rachubę – ...pani, Zoju!

– Dobrze – wstała bez pośpiechu, ale też bez specjalnego ociągania się. Otworzyła lśniąca torebkę z plastyku. Cicho szcęknęła sprężyna repetowanej broni. Mały oksydowany pistolet przypominał raczej zabawkę. Ale na bliską odległość działał skutecznie.

– Nadejdą od strony śródmieścia? – zatrzasnęła torebkę.

– Oczywiście. Po cóż mieliby nakładać drogi? Chyba – palce zacisnęły się na poręczu fotela – że ktoś deptałby im po piętach.

– Rozumiem. Jak długo mam obserwować?

– Powiedzmy, jakieś pół godziny.

Wyszła bez słowa. Ruchy miała wężowo gibkie. Szef wiódł za nią oczyma, dopóki nie zniknęła za drzwiami.

Doktor postukiwał papierosem o pokrywę pudełka.

– Dobry członek organizacji powinien być dobrym członkiem organizacji... i niczym więcej – powiedział oschle takim tonem, jakby po prostu rozważał na głos. Pocisk jednak trafił pod właściwy adres. Szef zeszytniał w swym fotelu, zaciskając wargi.

Teraz ten zaczyna mu dawać nauzki. Istniały wprawdzie poważne względy, by traktować doktora zupełnie odmiennie niż innych podwładnych, pomimo wszystko nie powinien jednak nadużywać swej sytuacji.

Zamierzał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Nie było czasu na głupstwa.

Zoja dopiero na schodach pozwoliła sobie na pogardliwy uśmiech. Rozwój wypadków biegł tak, jak tego pragnęła. Miała nadzieję, że jeśli tak pójdzie dalej, to wkrótce będzie mu mogła pokazać, co o nim myśli. Ale nadzieja to jeszcze nie pewność. Na razie trzeba było się hamować. Już i tak zdarzały się momenty, gdy podejrzewała, że przejrzał jej grę.

Na tej długiej ulicy pozostało zaledwie parę nie zburzonych domów. Oświetlone okna lśniły jak rzadkie gwiazdy. Postrzępione kontury ruin zdawały się biec w nieskończoność po obu stronach szerokiej jezdni.

Tamci wciąż szli szybko i pewnie. Odgłos ich kroków rozlegał się głuchym echem w otaczającej ciszy.

Teraz nie oglądali się niemal za siebie. Sierakowski jednak zachowywał bezpieczną odległość. Nie miał zwyczaju ufać pozorom, poza tym zaś pustka panująca na ulicy zmuszała do tym większej ostrożności. Za żadną cenę nie wolno spłoszyć zwierzyny, szczególnie w momencie, gdy wszystko zdaje się wskazywać, że naprowadza na cel.

Niekiedy uszu jego dobiegał szmer głosu. Odległość nie pozwalała na zrozumienie słów. Wysiłkiem woli powstrzymywał się, aby nie podejść bliżej.

Minęli zupełnie ciemną przecznicę. Tu nie było chyba ani jednego zamieszkałego domu.

Nagle drgnął. Ręka instynktownym ruchem wsunęła się do kieszeni płaszcza. Palec namacał cyngiel.

Zza narożnika wypalonego domu wychynęła ludzka sylwetka.

Zbliżała się szybko, przecinając mu drogę.

Kobieta? Po chwili nie miał już żadnych wątpliwości. Smukła, o ruchach energicznych. Należało przypuszczać, że raczej młoda. Twarzy nie zdołał dojrzeć w mroku.

Dłoń nie cofała się od broni. Kobieta, mężczyzna, to nie miało znaczenia. W tej grze zdarzało się rozmaicie.

Przeszła tak blisko, że nieomal otarła się o niego ramieniem. Na krótki moment błysnęły oczy. Ruch głowy był zastanawiająco szybki. Potem znowu twarz stała się niewidoczna.

W nozdrza uderzył intensywny zapach perfum. Fiołki? Hiacynt? Raczej chyba jakaś kompozycja, i to – jak odniósł wrażenie – zagraniczna. Starał się utrwalić zapach w pamięci. Kobieta mniej chętnie zmienia ulubione perfumy niż swój wygląd.

Szła dalej tym samym równym krokiem. Przecięła na ukos jezdnię zagłębiając się w ciemności przecznicy po tamtej stronie.

Sierakowski zwolnił nieco kroku, nie zaryzykował jednak zatrzymania się. Nie mógł wypuścić tamtych z zasięgu wzroku. Już i tak odległość niebezpiecznie zwiększyła się. Gdyby teraz nagle zniknęli w labiryncie ruin, mógłby szukać wiatru w polu.

Nie przestawał jednak nasłuchiwać odgłosu kroków kobiety. Bywają różne tricki.

Jeszcze przez pewien czas dobiegał go słabnący coraz bardziej stukot wysokich obcasów, wreszcie ucichł w oddali.

Analizował w myśli przebieg nieoczekiwanego spotkania. Wyglądałoby na zupełnie przypadkowe, gdyby nie to, że nie słyszał, jak nadchodziła. Szczegół ten był zastanawiający. Na krótką chwilę przedtem, nim ją zobaczył, musiała stać nieruchomo gdzieś za węglem. Co tam robiła? Mało było prawdopodobnych powodów, mogących skłonić młodą i elegancką kobietę do zatrzymania się na tym odludziu. Niespodziewana katastrofa z podwiązką? Ale po co miałyby się chować na ciemnej i pustej ulicy?

Obstawa pobliskiej meliny? Zaczerpnął głęboko powietrza. To było bardzo prawdopodobne. Tłumaczyłoby również wszystkie zagadkowe zjawiska, które by trudno inaczej wytłumaczyć. I nagle wynurzenie się, i uparte odwracanie głowy, i błysk badawczego spojrzenia. Jeśli się nie mylił, to znajdujący się w melinie przestępca zostaną w ciągu najbliższych minut ostrzeżeni o niepokojącej obecności kogoś obcego. I prawdopodobnie o roli tego obcego również. Nie wysyła się przecież na obstawę żółtodziobów.

Zaklął w duchu. Ta możliwość diabelnie skomplikowała sytuację. Od tego momentu niebezpieczeństwo mogło nadejść z każdej strony. Nie będą przecież czekać z beczynnymi założonymi rękoma na dekonspirację.

Przez krótką chwilę zamigotała myśl o odwrocie. Odrzucił ją jednak zdecydowanie. Powracać z pustymi rękoma? Melina mogła być równie dobrze na tej ulicy jak i na dziesiątej. A człowieka z blaszką na podeszwie i zadziwiająco sprawną lewą ręką może już nie spotkać nigdy.

Przyspieszył tempa, by doprowadzić do poprzedniej odległości. Trudno. Może jakoś się uda. Zresztą czyż nie powinien być z góry przygotowany na podobne powikłania, wyruszając za domniemanym mordercą? Przecież od pierwszej chwili nie wierzył, by morderca ten działał w pojedynkę.

Dopóki mógł dosłyszeć, utrzymywała jednostajne tempo. Dopiero gdy skręciła za węgiel następnej przecznicy, zaczęła biec. Teraz już nie bała się, że ściągnie na siebie uwagę.

Pies gończy. Widziała go tylko przelotnie, ale to jej wystarczyło.

Skręciła ostro, wpadając w resztki zrujnowanej bramy. Niewidoczne w mroku zwaliska i dziury, podstępnie ziejące w stropach piwnicznych, groziły co najmniej skręceniem nogi. Nie zwalniała jednak kroku ani na chwilę.

Znała tę drogę, że trudno lepiej. Mogłaby ją przebyć z zamkniętymi oczyma. Jeszcze jedna brama. Ta trzymała się na włosku. Wyglądało, jakby każdej chwili miała runąć.

Znowu resztki rozwalonego budynku. Potem wypalona sień. Wreszcie wysoki sześcian ocalałego domu. Plamy oświetlonych okien ożywiały caliznę muru.

W kilku susach przebyła wąskie podwórko. Wpadła w tylne drzwi. Przeskakiwała po parę stopni naraz. Gdy stanęła przed drzwiami, z trudem chwyciła oddech. Naciskając taster dzwonnka w umownym rytmie zerknęła niespokojnie na zegarek osadzony w złotej bransoletce. Odetchnęła z ulgą. Nie było ostatecznie tak źle.

Pospali się tam wszyscy, czy co? – ogarniała ją coraz większa złość.

Wreszcie zgrzytnęły rygle, brzęknął opadający łańcuch.

Czarny spojrzał na nią z wyraźnym zaniepokojeniem.

– Co się stało? – dopiero teraz wyjął rękę z kieszeni.

Nie odpowiadając odsunęła go niecierpliwym ruchem ręki. Mogła sobie na to pozwolić. Ona, tak... I Czarny doskonale o tym wiedział.

Drzwi na końcu korytarza były jak zawsze zamknięte na głucho. Nacisnęła klamkę bez podania hasła pukaniem. To było niedozwolone.

Zerwali się gwałtownie z krzesel. Brzęknął wywrócony przez kogoś kieliszek. Dłonie jak na komendę szarpnęły się w kierunku obciążonych kieszeni.

Na jej widok ręce opadły. Wyraz niepokoju nie ustąpił jednak z twarzy.

Szef zmarszczył brwi.

– Co znowu za nowa moda – twarz nabiegła mu krwią.

– Wracają Grom i Dandy – wypaliła jednym tchem. – A tuż za nimi ciągnie szpicel – głos przerywała jeszcze resztką zadyszki.

Opadła ciężko na krzesło. Forsowanie ruin w tym diabelskim tempie wymagało nie byle jakiego wysiłku.

W pokoju zapanowała nagła konsternacja.

Czarny, który wsunął się za nią, zamarł na progu.
– Szpicel?
Szef wyraźnie pobladł.
– Szpicel? – powtórzył. – Skąd pewność?
Tylko siedzący przy oknie mężczyzna nie zmienił sennego wyrazu twarzy. Sprawiało wrażenie, jakby wiadomość nie dotyczyła go w ogóle.
Zoja wzruszyła ramionami.
– Nie urodziłam się dopiero wczoraj. Sunie na wszystkich żaglach – wparła plecy w miękkie oparcie fotela. – Nasi holują go prosto tutaj.
Szef przesunął dłonią po łysinie.
– Gdzie... pani ich spotkała?
– Na rogu Fabrycznej i Dalekiej.
– Kiedy? – widać było, że już zdołał się opanować.
Spojrzała na zegarek.
– Dokładnie sześć i pół minuty temu.
– Sześć i pół minuty? – obliczał w myśli odległość. – To przecież niemożliwe. Chyba znacznie więcej.
– Nie. Biegłam skrótem.
– Hm... – sięgnął znowu ku łysinie, spostrzegł się jednak i ręka mu opadła w połowie drogi. – Czy oni szybko idą?
– O wiele szybciej, niżby można było sobie tego życzyć.
– Kiedy mniej więcej mogą dotrzeć przed dom?
– Czy ja wiem – zastanowiła się. – Jeżeli utrzymają dotychczasowe tempo, prawdopodobnie za jakieś osiem minut. Najwyżej za dziesięć.
– Dziesięć minut – odsapnął z wyraźną ulgą Czarny. – W tym czasie zdążymy go gładko wyprawić na tamten świat.
Szef spojrzał na niego ostro.
– Nie pytałem pana o zdanie.
Czarny zeszywniał.
– Ja tylko tak... – wybąkał.
Szef spojrzał wyczekująco w kierunku mężczyzny pod oknem.
– Jak pan uważa, doktorze?
Zapytany odwrócił powoli ku niemu twarz. Była w dalszym ciągu pozbawiona wyrazu.
– Cóż, w tej sytuacji, moim zdaniem, istnieją jedynie dwa wyjścia: albo uznać lokal za spalony i wycofać się jak najprędzej, albo też... – urwał wpatrując się znowu w sufit.
– Albo też?... – ponaglił szef. Istniały powody, dla których uważał jego wypowiedź za konieczną.
– No, w każdym razie tego rodzaju hm... nienormalna sytuacja musi ulec jak najszybciej likwidacji.
– Innymi słowy: albo ucieczka, albo wykończenie szpicla? – sprecyzował szef.
Doktor milczał, przesuwał ręką po czole takim ruchem, jakby masował nagle rozbolełą głowę.
Ale szef już wiedział, co pragnął wiedzieć.
– A więc zostanie zlikwidowany.
Zoja ostentacyjnie spojrzała na zegarek. Małe wskazówki wędrowały naprzód z nieubłaganą dokładnością.
Czarny wyprostował się.
– Załatwić to, szefie? – zapytał z gotowością, macając się znacząco po kieszeni. Tego rodzaju zadanie pachniało zawsze grubszą premią.

– Nie – szef potrząsnął głową – użycie pistoletu tu w ogóle nie może wchodzić w rachubę. Śmierć musi robić wrażenie naturalnej.

Czarny rozmyślał z wysileniem. Nie lubił, gdy premia przemykała tuż koło nosa.

– Cegła? – powiedział wreszcie.

– Cegła, hm? – zastanowił się szef.

– Cegły nie spadają same z nieba – zauważył doktor.

– Ale, powiedzmy, silniejszy podmuch wiatru... – obstawał przy swym pomysśle

Czarny.

– Dziś nie ma wiatru – stwierdziła ponuro Zoja. – Już pozostało tylko siedem minut – dodała.

– Jeżeliby go ogłuszyć i do Wisły? – Czarny wysunął nową koncepcję.

Szef spojrział na niego lekceważąco.

– Myśli pan, że oni mają trociny we łbach? Nikt nie uwierzy, że z własnej ochoty poszedł się kąpać do rzeki. I do tego w ubraniu.

– Dziura w ruinach – powiedziała Zoja. – Są tu takie piwnice, że mogą szukać do sądnego dnia.

– Hm... – szef zastanowił się. – To byłoby...

– On nie może zniknąć – oświadczył głos spod okna.

Zoja odwróciła się zdziwiona.

– Musi zostać zlikwidowany i nie może zniknąć?

– Tak – głos był bezbarwny i jakby zmęczony – i jednocześnie żadne nici nie mogą prowadzić w naszym kierunku.

Szef nagle wyprostował się na swym fotelu.

– Pan przecież przyjechał swoim wozem, doktorze?

– Tak – kąciki ust opadły nagle. Muskulary twarzy rozluźniły się. Potem wszystko wróciło do poprzedniego wyglądu.

– W takim razie... Do wypadku samochodowego nie potrzeba przecież współdziałania sił przyrody. A pod samochód wpadają nawet najprzystwoitsi ludzie.

– Pięć minut – uprzedzała Zoja. – A może nawet cztery.

– Wazon – przypomniał doktor.

Zoja zerwała się i wybiegła do frontowego pokoju.

Doktor bez pośpiechu wyciągnął płaszcz.

– A ja co? – stęknął Czarny. – Mam siedzieć z założonymi rękoma?

– Będzie pan ubezpieczać tyły. Szpik może w ostatniej chwili zawrócić.

– Wtedy cegła?

– Tak. Poza tym – rozwijał dalej myśl – wypadki nie zawsze bywają śmiertelne.

– Rozumiem. Będzie załatwione.

Zbliżali się do wielkiej kamienicy, sterczącej samotnie wśród gruzów.

Sierakowski naliczył pięć pięter. Większość okien szklila się martwo ciemnymi szybami. W niektórych jednak połyskiwał żółtawy odblask światła.

W jednym z okien pierwszego piętra stał jaskrawy wazon z jakimiś kwiatami. Nie byłoby w tym ostatecznie nic zastanawiającego, gdyby nie to, że poza wazonem wisiała nieprzezroczysta firanka.

Dałby wiele, by wiedzieć, czy spojrzeli ku temu oknu. Głównie w każdym razie nie odwrócili. Ale na to, by rzucić okiem, ruch głowy nie jest konieczny.

Poszukiwana melina, skąd sygnalizowano wystawianiem wazonu? Może. Ale z równie dobrym skutkiem mógł ktoś postawić wazon na parapecie okiennym, bo gdzie indziej zawadzał.

Nie przeszli na drugą stronę ulicy, nie zatrzymali się, nie zwolnili nawet kroku. Choć w pewnej chwili wydało mu się, że zauważył coś jakby ledwo uchwytny moment wahania. Ale to mogło być złudzenie.

Na wszelki wypadek zapamiętał sobie dokładnie numer domu i położenie okna. Trzeba będzie sprawdzić, co i jak.

Nagle drgnął. Dłoń jeszcze mocniej zacisnęła się na pistolecie. Z wnętrza bramy zrujnowanego domu, obok którego właśnie przechodzili śledzeni, wyszedł przysadzisty mężczyzna.

Sierakowski mimo woli zwolnił kroku. To była zaskakująca niespodzianka. Dla tamtych zresztą również. Stanęli jak wryci.

Co to wszystko mogło znaczyć?

Zaskoczenie tamtych trwało tylko chwilę. Już szli wszyscy trzej razem, przechylając ku sobie głowy. Dałby wiele, by usłyszeć, o czym mówili. Ale to było niemożliwe.

Jeszcze kilkanaście metrów i nowo przybyły odłączył się, przechodząc na drugą stronę ulicy. Potem ruszył w odwrotnym kierunku.

Sierakowski zjeżył się wewnątrz. Zamierza zająć z tyłu?! Nic jednak nie potwierdzało słuszności tego przypuszczenia. Odgłos samotnych kroków oddalał się słabnąc równomiernie. Wyglądało, że szedł, nie zatrzymując się. Takie samo jednak wrażenie można wywołać tupiąc umijętnie w miejscu.

Spojrzał przez ramię. Nie było go widać. No tak, w tych ciemnościach... W każdym razie nie powrócił na ten chodnik. Chyba nie. Pewności jednak nie miał żadnej. Sprawa mogła wyglądać bardzo paskudnie. Kocioł... Ale mogła też być całkiem zwyczajna. Ileż razy zwyczajny zbieg okoliczności wprowadza człowieka w błąd.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI